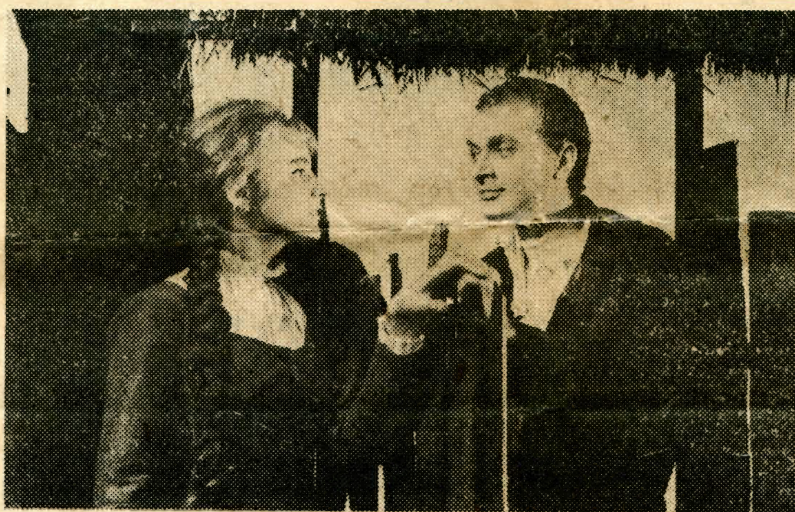


Kordian Skandy nawów



„Peer Gynt” w Tarnowie. Na zdjęciu: I. Świda (Solwejga) i A. Bednarz (Peer Gynt).

Nie o miłości marzy lecz o sile. Nie o klęskach narodowych słucha gawęd lecz o połowaniach wspaniałych na łosie, rogacze królewskie. Nie sprawiedliwy chce być lecz mocarny, nie wielki w swoim poświęceniu lecz potężny, i strach wzbudzający i szacunek. Więc jego marzenia i sny, i fantazje nie są poetyczne lecz najprymitywniejszą realnością przesycone, są królewskie, i cesarskie, i zdobywcze.

Zyje natomiast w sielance konwencjonalności. Z północy dalekiej spławia drzewo, matką starą stara się utrzymać, mieszka w chatce ubogiej, chociaż jego towarzysze mają już masywne domostwa; bowiem co drugi pień zrąbany, pień spuszczonego na wodę i płynący w świat, budzi jego marzenia tęsknoty za czymś, co jest — nieznanym ale wspaniałym, co czeka na niego, właśnie na niego. Obrazek wycięty z magazynu ilustrowanego takie marzenia podsyca najbardziej. I kiedy uda się rzeczywiście w świat, jego kariera będzie miała w sobie wszystko z owego oleodrukowego druczku reklamowego. Na reklamach szampana jest trzech sytych i zadowolonych panów. Na reklamie podróży do krajów arabskich bywa ziemski i niedoskonały, ale nie mniej pociągający obraz raj Mahometa. Potem jeszcze wyniosła i tajemnicza groza piramid. I Peer Gynt przechodzi wszystkie szczeble tej oleodrukowej, reklamowej kariery na południu, on, człowiek surowej północy, on, poszukiwacz słońca. Ale czy słońce rzeczywiście, do którego tęskni i które zdobywa, potrafi zastąpić jasność wewnętrzną? Wracając z wędrówki do swej ubogiej chaty, do swego chłodnego, północnego słońca — f to „słońce, słońce, słońce” wydaje mu się teraz dopiero najbardziej prawdziwe. Ale przecież i ono także jest tylko oleodrukową makietką z popularnego prospektu „visitez la Norvège!”

Przedziwna jest ta Ibsenowska fantazja na temat tęsknoty człowieka, „Peer Gynt”. Romantyczna i tak bardzo rzeczywista, ale bardziej rzeczywista w majaku sennym niż w swej formie konwencjonalnej, która musi być skłamana, ponieważ jest płaska i naiwna, jak świat dostępny człowiekowi żyjącemu na kredyt swą wyobraźnię. W ubiegłym roku widziałem w Londynie

takie właśnie przedstawienie „Peer Gynta”. Romantyczne, ale zarazem bardzo współczesne. Norwegia była oleodrukowa i oleodrukowe były przygody południa. Jedynie spotęgowaną artystycznie realność miały sny Peer Gynta o cesarstwie. Były autentyczne, były więc tą rzeczywistością wewnętrzną, która człowieka może uchronić od kłęski złudzeń. Człowieka, którego marzeniem jest świat i wszechobecność, który tęskni do życia nie zakosztowanego jeszcze, nie zdając sobie sprawy, że tęsknota jest stanem psychicznym niepodległym ani rozczarowaniom ani sukcesom rzeczywistym. Pusta tęsknota, kłamliwa tęsknota, jaka rodzi się pod niebem zimnym północnym. Ale przecież nie tylko tam. Przecież jest to najpowszechniejsza z tęsknot, której powstydzic powinna się wielka literatura. I wstydzi się, dziś właśnie, dopóki tej najbanalniejszej z tęsknot — właściwej umysłom obłąkanym, prostackim lub subtelnym — nie weźmie w cudzysłów tandetnego oleodruku.

Dlaczego nie wznawiano u nas „Peer Gynta” od lat kilkudziesięciu? To przecież nie tylko bliski krewny naszego romantyzmu lecz także wspaniała rola. Lękano się tego pokrewieństwa, późniejszej młodopolskiej popularności, czy aktorstwa współczesnego? Przerażała maszyneria teatralna, czy owe nieposkromione ideowo marzenia i przygody bohatera? Ależ to wszystko daje właśnie szansę artyście współczesnemu. „Peer Gynta” wystawił dziś Teatr Ziemi Krakowskiej w Tarnowie pod dyrekcją Kazimierza Barnasia. Reżyserowała Lidia Zamkow, scenografię zaprojektowała Urszula Gogulska. I ten teatr pracujący w najcięższych warunkach objazdu odniósł sukces. Dowiódł aktualności dramatu. Dowiódł, że mieści się on znakomicie w ideowej i artystycznej problematyce, jaka dziś jeszcze porusza umysły. Ze aktorstwo współczesne właśnie w takich najtrudniejszych próbach dojrzewa.

Z całą koncepcją przedstawienia Zamkow można się nie zgadzać.

Sekwencje, by tak powiedzieć, norweskie poprowadziła ona w stylu trochę brechtowskim. A więc ludowo, songowo, z chwalebna konsekwencją zresztą, ale bez tego oleodrukowego cudzysłowu (także scenografia, bardziej ponura i groźna niż tania), który by nas ironią ratował od nadmiaru powagi, od nadmiaru, powiedzmy — to jeszcze mocniej, młodopolszczyzny. Znakoomicie natomiast rozwiązała Zamkow sekwencje podróży Peera. Na pierwszym ~~plac~~ pianistka gra fragmenty z opery Griega. Na planie drugim obrazy przesuwały się w konwencji niemego filmu. Kariera została ujęta w cudzysłów ostry, współczesny, pełen dowcipu i humoru. Przy tym wszystkim Zamkow podjęła niewykonalną chyba próbę nadania całemu przedstawieniu jednolitej tonacji stylistycznej. Za to musiała płacić. Ale mnie się wydaje, że cały urok tego dramatu i wszystkie jego szanse w teatrze polegają na dokładnym przemianowaniu stylów. Na skomponowaniu obrazu jednolitego, ale z tej wewnętrznej kafeonii romantyzmu i oleodruku grozy i sielanki. Jesteśmy tutaj bardzo blisko jakichś podstawowych praw iluzji teatralnej, która może posłużyć się wszelkimi dostępnymi środkami. Teatr nasz odszedł od tego. Ale obawiam się, że teatr współczesny jeszcze tej szansy nie odkrył dla siebie na nowo.

Peera zagrał młody aktor Aleksander Bednarz. Zamkow prowadziła go czujnie i jej koncepcja ułatwiała mu zadanie. Ale to aktor zdolny i jego wystąpienie likwiduje uprzedzenia i obawy jakimi otacza się dziś największe role repertuaru europejskiego, w których błyszczały niegdyś wielkości sceniczne.

Tylko w codziennym obcowaniu z tym repertuarem wielkości mogą wyrastać. Teatr tarnowski wystawiając „Peer Gynta” dowiódł swoich ambicji. Ale poświadczył także, że sukces artystyczny przynosi żywy stosunek do całej tradycji literackiej i artystycznej.

ZYGMUNT GREŃ